

POLSKIE TOWARZYSTWO EKONOMICZNE

Dyskusja wokół książki profesora Grzegorza W. Kołodki "Wędrujący świat"

Stenogram ze spotkania „Czwartki u Ekonomistów”, 29 maja 2008 r.

Prof. Grzegorz W. Kołodko

Dzień dobry Państwu.

Dziękuję serdecznie Pani Profesor za zaproszenie oraz zorganizowanie tego spotkania i dyskusji, której sam jestem bardzo ciekaw, wiele bowiem się zawsze przy tego typu sposobnościach uczę. W rzeczy samej pretekstem do dzisiejszego spotkania jest moja najnowsza książka zatytułowana „Wędrujący świat”, choć to, o czym tutaj wspomnę, to zaledwie wierzchołek wierzchołka góry lodowej w porównaniu do ogromu spraw poruszanych na jej kartach. Tytuł książki wziął się stąd, że wędrują nie tylko ludzie – dosłownie i w przenośni – ale "wędrują", bo przemieszczają się efekty ludzkiej pracy, to co tworzy ludzki umysł i ręce, towary. Wędrują wartości i, co jest najciekawsze, także instytucje i polityka. Czasy wędrują. Można by rzec *panta rei*... I gdyby Heraklit kiedyś już tak nie powiedział, to, być może, dzieło to tak akurat by się nazywało.

Ekonomię jako piękną naukę plasuję gdzieś między jedną królową, ścisłą matematyką, a drugą, humanistyczną filozofią. Sam jestem przy tym głęboko humanistycznym ekonomistą i zawsze – tak w prowadzonych badaniach, jak i w działalności gospodarczej – wpierw widzę człowieka, a dopiero potem pieniądze, traktując te drugie instrumentalnie, a to pierwsze strategicznie. Zarazem zazwyczaj podchodzę do ekonomii w dwójnasób, traktując ją zarówno deskryptywnie, jak i normatywnie. Uważam, że dobra ekonomia to taka nauka, która wpierw potrafi wyjaśnić, od czego zależy bieg procesów i kształtowanie się zjawisk społeczno-gospodarczych, która potrafi pokazać, jakie mechanizmy i prawidłowości dające się ująć w obiektywne prawa rządzą procesami reprodukcji. Potem zaś, jeśli już to jest intelektualnie ogarnięte, trzeba wykonać następny krok i w ślad za teoretycznym rozpoznaniem mechanizmów rządzących gospodarką podejść do rzeczy pragmatycznie i zaproponować, co zrobić, aby było lepiej, przyjmując, że zawsze funkcjonują rozmaite podmioty gospodarcze z określonymi, często sprzecznymi celami wynikającymi z wartości, które ich gospodarowaniu przyświecają. Wobec tego metodologicznie i merytorycznie podchodzę do zagadnienia w ten sposób, że wpierw chcę zrozumieć istotę samego mechanizmu zmian, by potem zaproponować sposób dokonywania zmian rzeczywistości na lepszą.

Na samym początku podkreślmy – a w książce poświęcam temu zagadnieniu pierwszy rozdział "Świat, słowa i treści", który, jak powiadają, oczy otwiera – że w debatach ekonomicznych, a w polityce jeszcze bardziej, trzeba nauczyć się odróżniania dylematu prawda *versus* błąd od dylematu prawda *versus* kłamstwo. Spośród tych ekonomistów, co racji nie mają, wielu się myli, ale wielu z nich się nie myli, bo kłamie. A kto kłamie, ten się nie myli, wie bowiem co (i dlaczego – z motywów doktrynalnych czy materialnych) czyni. Dlaczego politycy kłamią, dlaczego przytrafia się to ekonomistom, może częściej publicystom niż tym uczonym, jak na głoszenie fałszywych poglądów oddziałuje doktrynerstwo, dogmatyzm, wiara, która jest bardziej ideologią niż wiedzą, bardziej swoistą religią niż nauką, jak to się łączy z lansowaniem określonych partykularnych interesów i narzucaniem ich jako interesu ogólnego pod płaszczykiem troski o dobro społeczne, jak te mechanizmy działały tu i tam, wtedy i teraz i jak to będzie się przewijało w przyszłości – o tym piszę i pokazuję, jak się temu przeciwstawiać.

W przypadku "Wędrującego świata" zamach badawczy jest zaiste nader szeroki i głęboki. Param się bowiem roztrząsaniem problemów długofalowego rozwoju społeczno-gospodarczego, przy czym przez długofalowy rozumiem wręcz pokoleniowy i epokowy. Jest to swoista wędrówka, taki *tour de force* w czasie i przestrzeni odpowiadający na pytanie, co kształtuje taki a nie inny bieg procesów rozwojowych, społeczno-kulturowo i polityczno-gospodarczo na przestrzeni dziejów.

W odróżnieniu od Maksa Webera, który wielu z nas do różnych przemyśleń swoją twórczością zainspirował, a który powiedział – tym razem zupełnie niesłusznie – że o przyszłości mogą się wypowiadać w miarę jednoznacznie wyłącznie demagodzy albo prorocy, wypowiadam się na ten temat. Najdłuższy rozdział książki – i, jak często słyszę, dla wielu czytelników najciekawszy, choć poprzednie dziewięć też jest wielce interesujące – nosi tytuł „Niepewna przyszłość”. Próbuję w nim pokazać, jakie wyzwania stoją przed przyszłością i jakie w związku z tym są pytania przed teorią i praktyką, przed nauką i polityką, tu i teraz, tam i potem. A cały czas patrząc na tę przyszłość w ujęciu pokoleniowym i epokowym, a nie kilku- czy kilkunastoletnim.

By wszakże odpowiedzieć na pytanie, co się będzie działo w przyszłości, jakie prawa będą rządzić procesem reprodukcji makrospołecznej, trzeba mieć teorię, trzeba zinterpretować współczesność i rzeczywistość. I taką nową teorię – jej podstawy czy zręby – którą nazywam koincydencji teorią rozwoju, prezentuję w książce. To jest właśnie to ujęcie deskryptywne, czyli opisowe. Z niego zaś wyprowadzam ujęcie normatywne, czyli postulatywne, które określam jako nowy pragmatyzm.

By z kolei do tego dojść, trzeba się zagłębić w przeszłość. Stąd też jeden z rozdziałów nosi wymowny tytuł „Krótka historia dziejów i co z niej wynika”. I w rzeczy samej, gdy człowiek zagłębia się w przeszłość, to nabiera coraz większego szacunku dla historii w ogóle, a gospodarczej w szczególności. Jest to bowiem – co zaskakujące dla wielu – kopalnia wiedzy o przyszłości. A to dlatego, że jeśli się potrafi wędrować w czasie i przestrzeni, to częstokroć widać przyszłość poprzez właśnie przeszłość. Nasuwa się wiele podobieństw, analogii. Choćby tak zaskakujących jak to, że łatwiej wyjaśnić współczesny upadek amerykańskiej hegemonii i utraty przez USA przywództwa we współczesnym świecie, gdy się przyjrzeć mechanizmom, które spowodowały, że w swoim czasie utraciło prymat w świecie imperium hiszpańskie Filipa II, nad którym słońce nie zachodziło, bo to powiedzonko się wzięło właśnie z rozległości i potęgi tegoż imperium, a nie brytyjskiego, jak wielu autorów mylnie uważa.

W podobny sposób, stosując koincydencji teorię rozwoju podkreślającą specyficzny zbieg rozmaitych czynników, można wyjaśnić wiele innych procesów, niekiedy w sposób zaskakujący, jak na przykład jaki był ...wkład buraków cukrowych z kraju nadwiślańskiego – który wtedy w sensie państwowości nie istniał – do upadku niewolnictwa na Wyspach Karaibskich. Wpierw brytyjskiego, na początku XIX wieku, a niedługo potem w ogóle skasowanie tej hańby ciężającej na dziejach ludzkości.

Taka fascynująca wędrówka w czasie i przestrzeni ułatwia odpowiedź na pytanie, dlaczego jest tak, jak jest, rozumiejąc przez to "jak jest" wszechstronnie stan gospodarki światowej – od strony kulturowej, społecznej, ekonomicznej i środowiska naturalnego, od strony strukturalnej i instytucjonalnej. Wątek instytucjonalny jest w książce bardzo mocno podkreślany. Jeden z rozdziałów nosi tytuł „Instytucje, polityka i kultura a zastój i rozwój”.

Pisząc o rozwoju, częstokroć trzeba pisać, niestety, o zastoju, o regresie wręcz. Gdy przyjrzeć się biegowi dziejów, to – co zdumiewające – większość z tego, co już za nami w dziejach cywilizacji i jeszcze dalej idąc w dziejach ludzkości, to okresy zastoju albo nawet regresu, to czasy dominowania głupoty nad mądrością, krótkowzroczności nad strategią, braku rozsądku nad racjonalnym postępowaniem. W tym też kontekście trzeba

zakwestionować jeden z paradygmatów, który stoi u podstaw ekonomii, że podstawą działalności jest racjonalność.

Skądinąd to ciekawe, bo zależy to od tego, jak zdefiniujemy racjonalność. Goszczący niedawno u nas na uczelni, u Koźmińskiego, profesor Robert Aumann, laureat Nagrody Nobla z 2005 roku, powiada, że racjonalne zachowanie to takie, gdy ktoś działa na własną korzyść, zważywszy na posiadane informacje. No, ale przy takim ujęciu można zachowywać się racjonalnie działając na swoją szkodę, gdy nie wie się, co od czego naprawdę zależy, bo ma się zasób fałszywych informacji albo nie ma się właściwej teorii. W tym sensie prawie każda głupia wojna jawić się może jako mądra. Albo prawie każdy kryzys czy stagnacja, w przypadku makro-, albo też bankructwo, w przypadku mikro-, też są racjonalne, jeśli doprowadzające do nich podmioty działały "na swoją korzyść", tyle że dokonane wybory spowodowane były niewiedzą, brakiem bądź asymetrią posiadanych informacji. Jest to wobec tego bardzo ciekawa "figura logiczna": oto racjonalne może być coś, co jest szkodliwe! W moim natomiast podejściu do racjonalności przyjmuję, że wyklucza ona działania obiektywnie na własną szkodę, choć podmiot subiektywnie zakładał, że postępuje na własną korzyść.

Co do świata zaś, współczesna gospodarka wytwarza około 66 bilionów dolarów, licząc kategorią produktu brutto według parytetu siły nabywczej. Od ubiegłego roku Unia Europejska pod względem wartości produkcji wynoszącej około 14,4 biliona dolarów jest już na pierwszym miejscu w gospodarce światowej wytwarzając 21,9 procent produktu całej ludzkości. Zaraz za nią są Stany Zjednoczone wytwarzające odpowiednio 13,9 bilionów dolarów i 21,1 procent. Ale już coraz bliżej za nimi są szybko wędrujący Chińczycy, których oddech czują na karku tak Europejczycy, jak i Amerykanie. I tak już w dającej przewidzieć się przyszłości będzie. W dającej się przewidzieć, gdyż "zawsze" to nie będą istniały ani Stany Zjednoczone, ani Unia Europejska. W tej perspektywie historycznej, o której piszę, to są i będą trzy największe podmioty w gospodarce światowej. Chiny już wytwarzają około 10 bilionów produktu globalnego, co stanowiło w roku 2007 około 15,4 procent światowej produkcji.

Fascynujące jest to, że Chiny już kiedyś wytwarzały relatywnie biorąc dwakroć więcej. Jakieś osiem-dziesięć pokoleń temu, na początku XIX wieku, wkład Chin do światowej produkcji sięgał jednej trzeciej, wynosił bowiem aż 32 procent. Ale dwa pokolenia temu – w połowie lat 50-ych, zaledwie około 5 procent. Za kilka lat – w następnej dekadzie – ponownie przekroczy 20 procent, jak już stało się to w XVII wieku. Od razu wyłania się pytanie: czy może znowu za kilkadziesiąt albo kilkaset lat spadnie do kilku procent? A jeśli tak, to od czego tym razem będzie to zależało?

Na tym tle Polska, dla nas najważniejsze miejsce na Ziemi, to "kraj po przecinku", wytwarzamy bowiem wciąż mniej niż 1 procent światowej produkcji, a handlując na scenie międzynarodowej obracamy relatywnie jeszcze mniejszą częścią światowego produktu. Mamy PKB na mieszkańca w wysokości około 16.200 dolarów (według parytetu siły nabywczej), to jest o dwie trzecie wyższy niż przeciętnie na świecie, którego statystyczny mieszkaniec ma około 10 tysięcy dolarów. Jest to zaledwie połowa poziomu bogatej części Unii Europejskiej (ponad 32 tysiące) albo, z innej perspektywy, jedna trzecia średniego dochodu mieszkańców Ameryki Północnej (około 45 tysięcy dolarów).

Wszystko to wzięło się stąd, że – gdy tylko tak dobrze przyjrzeć się dziejom – przez większość ich toku mieliśmy do czynienia z dreptaniem w miejscu. Istniejąc od jakichś 3 milionów lat człowiek świadomie gospodaruje – a wymaga to co najmniej wymiany i akumulacji – około 50 tysięcy lat. Przez 40 z nich działało się niewiele. Potem zaczyna się ruch, rzecz by można – prawdziwa wędrówka. Powstały i upadały wspaniałe cywilizacje, co zawsze miało także swoje aspekty ekonomiczne.

Przez większość dziejów mieszkańców Ziemi było mało i niewiele też potrafili wytworzyć. Warto zdawać sobie sprawę, że w roku 1000 ludzi było około 310 milionów i wytwarzali na głowę tyle samo co tysiąc lat wcześniej, kiedy to w roku 1 nowej ery było nas niewiele mniej, bo jakieś 300 milionów. Produkcja, według najlepszych szacunków historyków gospodarczych, wynosiła w roku narodzin Chrystusa około 700 dolarów (licząc według parytetu siły nabywczej, w warunkach porównywalnych, a więc w tych pieniądzach, w których obecnie wynosi ona około 10 tysięcy dolarów na głowę), a całe millenium później raptem dolarów 710. Tak tysiąc, jak i dwa tysiące lat temu ludzkość liczyła zaledwie tyle, ile obecnie Stany Zjednoczone, ale wytwarzała (mierząc kategorią produktu globalnego, PKB) zaledwie półtora procent tego, co współcześni Amerykanie. Albo – innymi słowy – w ciągu roku tyle, co Amerykanie współcześnie przez roboczy tydzień...

Potem, przez kolejne wieki, stosunkowo niewiele się działo, z tą jednak zasadniczą różnicą w porównaniu z okresami wcześniejszymi, że potrafiono wytworzyć w sumie więcej i, konsekwentnie, utrzymać więcej ludzi. I chociaż produkcja na mieszkańca nadal rosła bardzo wolno, w tempie śladowym, niezauważalnym dla przemijających pokoleń, rosła zaczęła liczba mieszkańców Ziemi i około 200 lat temu, w roku 1800, był nas już cały miliard.

To wtedy Malthus pomylił się prognozując wzrost podaży żywności w tempie co najwyżej postępu arytmetycznego, podczas gdy liczba ludności miała zwiększać się według funkcji geometrycznej. Pomylił się w dwójnasób, gdyż z jednej strony udało się zasadniczo i odczuwalnie zwiększyć produkcję żywności, głównie wskutek "zielonej rewolucji", czego nie przewidział, z drugiej zaś z czasem – bo dopiero w ostatnim ćwierćwieczu – zapanowano nad tempem wzrostu ludności, które bynajmniej nie ma już kształtu krzywej rysowanej według postępu geometrycznego. Jednakże przez wiele pokoleń po Malthusie, a w niektórych rejonach świata, zwłaszcza w subsaharyjskiej Afryce nadal, jego hipoteza znajduje swoje częściowe potwierdzenie. Ludzie głodują, bo ich liczba jest duża i nadal się szybko zwiększa, podczas gdy podaż żywności jest ograniczona i rośnie wolno albo wcale.

Jednakże jeden z największych problemów, jaki stał przed ludzkością, wydaje się być – przynajmniej po części i na większości obszarów świata – rozwiązany. Obniżenie stopy przyrostu naturalnego to wielki sukces ludzkości, choć nad tym jeszcze nie zapanowała Afryka i niektóre kraje muzułmańskie. Niektóre, bo na przykład Algieria tak. I to do tego stopnia, że demografowie nie potrafią do końca wyjaśnić drastycznego, bo aż o ponad połowę, obniżenia się stopy przyrostu naturalnego podczas niespełna dwu dekad. W skali całego globu za ostatniego pokolenia udało się zapanować nad niebezpieczeństwem niekontrolowanej eksplozji demograficznej. Nie dla wszystkich jest to do końca widoczne, nie przez każdego dostrzegane. Notabene, wielu zjawisk nie zauważamy, niejednego procesu nie wychwytyjemy, ponieważ dzieją się one w skali naszego życia wolno, ale za to w skali historii szybko.

I tak o ile w roku 1980 – w skali dziejów można by rzec przedwczoraj – przeciętnie dziesięć kobiet rodziło czterdzieścioro sześcioro dzieci, to teraz jest to tylko dwadzieścioro czworo. Dowędrowaliśmy do innego już świata. W dużym stopniu do tego przyczyniły się – co prawda, w sposób mało demokratyczny i bynajmniej niehumanitarny, ale na pewno skuteczny – Chiny. We wszystkich bez mała globalnych analizach muszą one być przywoływane ze względu na swoją relatywną wielkość, zwłaszcza ogromny zasoby ludnościowe. To procesy demograficzne w Chinach, a nie, dajmy na to, w Algierii, współdecydują o obliczu świata. W 1970 roku statystyczna Chinka rodziła 5,4 dziecka, a teraz tylko 2,1. Tyle wynosi stopa reprodukcji prostej. Równie wielkie znaczenie ma postęp odnotowany w Indiach, gdzie w tym samym czasie wskaźnik rozrodczości został zredukowany z 6,0 do 3,1. "Został zredukowany", gdyż w obu przypadkach zrobiła to długofalowa i świadoma polityka, a nie doraźny i żywiołowy rynek.

Ludzie przestali rozmnażać się w sposób niekontrolowany i wylania się przed ludzkością szansa – szansa wciąż tylko, bo bynajmniej jeszcze nie gwarancja – że Ziemia potrafi wszystkich swoich mieszkańców wyżywić. A jest nas obecnie 6 miliardów 600 milionów, czyli aż 20 razy więcej niż millenium temu, a zarazem – też aż – ponad dwa razy więcej niż 50 lat temu. Co więcej, już jest to zdeterminowane inercją procesu demograficznego, że będzie nas w roku 2050 – tym razem na skali dziejów "pojutrze" – prawie 9 miliardów. Wtedy też najbardziej ludnym krajem światem będą Indie, a nie Chiny, bo podczas dwu pokoleń różnica pomiędzy stopą rozrodczości w wysokości 2,1 i 3,1 zrobi swoje. Przecież Hinduska rodzi o jedno dziecko więcej niż Chinka. Świat, na którym będzie w sumie około 3 miliardów Chińczyków i Hindusów, znowu będzie wyglądał trochę inaczej...

Na przestrzeni dziejów – licząc te idące w lat miliony i tysiące – najwięcej w sferze produkcji i standardów życia zmieniło się jakby w oka mgnieniu, raptem za życia jakichś ośmiu zaledwie pokoleń. Co takiego stało się niespełna 200 lat temu, że pewne części świata wsiadły do pociągu postępu, odjechały do przodu i się wzbogaciły? Co zaszło, że inne regiony zostały na peronie i wciąż ciągną się w tyle, choć niektóre z nich wylaniają się już na linii widnokregu? Co spowodowało, że jeszcze inne narody i grupy ludności dały się zepchnąć na pobocze, do przydrożnego rowu i nadal tkwią na marginesie wykluczenia? Choć bywa, że żaden to margines, tylko wcale szeroki obszar, na którym dominuje zastój i bieda, regres i nędza.

Co ciekawe – i ważne – a co widać dopiero, jak się przyłoży miarkę długiego okresu, to wyrwanie się nielicznych do przodu jest efektem bardzo wolnego tempa wzrostu, ale za to odnotowywanego przez bardzo długo. To, że Ameryka Północna jest obecnie tak bogata, podobnie jak Europa Zachodnia i jej kulturowi potomkowie na antypodach, w Australii i Nowej Zelandii, czy też wskutek reform Meiji i następnych okresów także Japonia, jest efektem tego, iż przez 180 lat narody tych państw i regionów kroczyły do przodu wolniutko, w tempie średniego rocznego przyrostu PKB na mieszkańca zaledwie 1,2 procent! Dzisiaj powiedzielibyśmy, że to tempo stagnacyjne. Ale widać tu potęgę procentu składanego (to arytmetyka) oraz znaczenie długiego okresu (to już ekonomia rozwoju). Jak się kroczy dostatecznie długo nawet stosunkowo wolno, to daleko można zawędrować. I to spowodowało, że obecnie ktoś – jakiś region świata bądź naród – jest bogaty, podczas gdy ktoś inny pozostał na poziomie średniackim albo jest wręcz biedny. A przecież dzisiaj bez mała wszyscy oczekują dużo większego tempa wzrostu niż jakieś marne 1,2 procent średnio rocznie. Z takim tempem to przegrywa się wybory, a nie wygrywa przyszłość.

Gdy tak raz jeszcze spojrzeć wstecz, na poprzednie millenium, które dopiero co z hukiem pożegnaliśmy, to przez jego pierwsze pięć wieków – w latach 1001-1500 – przeciętne tempo wzrostu światowej produkcji (PKB) wynosiło śladowe 0,05 procent. Niewiele lepiej było przez następne 320 lat, bo wskaźnik ten wyniósł tylko 0,07 procent. Totalna stagnacja! Dopiero ostatnie 180-190 lat to wyraźniejszy ruch do przodu, a to też nie wszędzie i nie zawsze. Co nader ciekawe, tysiąc lat temu nie było żadnych przesłanek, że pięćset lat później to Europa właśnie stanie się centrum światowej gospodarki i kultury. Wtedy jeszcze równie dobrze mogłaby to być Ameryka później nazwaną Południową albo Bliski Wschód, nie mówiąc już o Indiach i Chinach. Ba, mogłaby to nawet być Afryka. Po pięciu wiekach oblicze świata było już inne, zdominowane przez Europę. O ile pięćset lat temu produkcja na mieszkańca Afryki, w co trudno dziś uwierzyć, była wyższa niż Ameryki Północnej, to dzisiaj w tym drugim przypadku jest ona jakieś 20 razy większa niż w tym pierwszym.

To wszystko jest nie tylko intrygujące z punktu widzenia chęci zaspokojenia ciekawości intelektualnej i uzyskania zadowalającej odpowiedzi na pytanie, jak do tego doszło. Dużo ciekawsze jest pytanie, co z tego wynika dla przyszłości, bo przecież ta fascynująca wędrówka w czasie i przestrzeni trwa. Od razu trzeba poczynić zastrzeżenie, że

ekstrapolacja tych wcześniejszych trendów byłaby merytorycznie i metodologicznie błędna. To, że tak było, bynajmniej nie dowodzi tego, że podobnie będzie. Bynajmniej. W książce wywodzę i dowodzę, że wzrost gospodarczy i rozwój społeczny nie są procesami linearnymi i ekstrapolowanie trendów jest nie na miejscu, prowadzić bowiem musi na manowce, a przecież nie tam chcemy zawędrować.

Oczywiście, w krótkim historycznie biorąc okresie występuje pewna inercja toczących się procesów, są one już zdeterminowane i uwarunkowane określonym splotem okoliczności. Nedorzecznnością wszakże byłoby zakładać dzisiaj, że Afryka kiedyś, w dającej się przewidzieć przyszłości, wyprzedzi w poziomie rozwoju Amerykę Północną. Ale jeszcze większością niedorzecznością byłoby zakładać, że to nigdy w przyszłości nie okaże się możliwe, bo to możliwe kiedyś stać się może. Z analizy mechanizmów dziejowych bowiem wywnioskować trzeba, że procesy wzrostu ilościowego i rozwoju jakościowego zawsze uwarunkowane były zbiegiem określonych zjawisk i nawarstwianiem się konkretnych procesów. Wielkie przełomy – zwłaszcza przyspieszenia – brały się właśnie z koincydencji i nawarstwiania się. Rozwój "na zakrętach" dziejów nie miał symptomów ani ewolucyjnych, ani rewolucyjnych – acz lekceważenie znaczenia ewolucji i rewolucji w rozwoju byłoby kardynalnym błędem – lecz znamiona przemian kaskadowych. Także i jest współcześnie, co trzeba dostrzec, zrozumieć, objaśnić i – nade wszystko – inteligentnie wykorzystać. Żyjemy w czasie kaskadowych zmian.

I teraz pewna obserwacja. Jak się dobrze wokół rozejrzeć, to prawie wszystko jest funkcją procesów, które mogły nie zająć. Mogło tego wszystkiego nie być, a zarazem mogło zaistnieć coś, co w końcu nie powstało. Mogło nie być Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a mogły powstać Stany Zjednoczone Ameryki Południowej. Mógł nadal istnieć Związek Radziecki, a mogła nie powstać Unia Europejska. Te spostrzeżenia mają istotne konsekwencje dla przyszłości. Otóż przyszłość też kiedyś będzie przeszłością. Z punktu widzenia następnych pokoleń, wnuków naszych wnuków, przeszłość będzie już *ex post* określona, podczas gdy dla nas jest to wciąż rzeczywistość *ex ante*. Następne pokolenia będą patrzyły na to, co za nimi już jako na fakty, natomiast teraz te fakty wciąż jeszcze mogą, ale nie muszą zaistnieć.

Od czego zależy ich zaistnienie w różnych obszarach, związanych przede wszystkim z aktywnością gospodarczą *sensu largo*, piszę wyjaśniając istotę rozwoju społeczno-gospodarczego, procesu długotrwałych przemian, które są warunkowane trzema hiperkategoriami:

- wartościami;
- instytucjami;
- polityką.

Wartości traktuję jako ludzkie ambicje i pragnienia, które poprzez motywację uruchamiają wszelkie działania. Czasami szlachetne, niekiedy zbrodnicze, ale przynajmniej od jakichś 50 tysięcy lat działania gospodarcze. Dziś form aktywności gospodarczej jest multum, nie tylko wymiana i akumulacja, i wciąż wyłaniają się nowe, o których tym razem ekonomistom się nie śniło zaledwie dwa pokolenia temu. Wystarczy porównać podręczniki z ekonomii czy zawartość encyklopedii i leksykonów, aby dostrzec, jak wiele nowych pojęć zostało wprowadzonych do nauki ekonomii od czasów, kiedy my studiowaliśmy. Pewnych pojęć, którymi dzisiaj się posługujemy w sposób trywialny, nie było, bo nie było kategorii, zjawisk i procesów, do których się odnoszą. Z tego punktu widzenia eksplozja myśli w naukach ekonomicznych jest wcale nie mniejsza niż w naukach technicznych czy w niektórych innych dyscyplinach, jak biotechnologia, nanotechnologia, farmakologia, ekologia. Co więcej, w międzyczasie powstawały zupełnie nowe gałęzie nauki. Także z ekonomii wyłaniają się i nadal wyłaniać się będą nowe dyscypliny. Ani się obejrzymy, jak będziemy mieli piękną i fascynującą, a zarazem niezwykle kontrowersyjną politycznie i

ideologicznie dyscyplinę – globalne finanse publiczne. Już potrzebujemy sprawnego systemu globalnych finansów publicznych, a wciąż nie mamy ani ich teoretycznych zrębów, ani tym bardziej odpowiedniej instytucjonalizacji i sposobu wprowadzenia na grunt praktyczny. A przecież jest masa problemów globalnych, których rozwiązywanie musi być finansowane w sposób zorganizowany i skoordynowany w skali ogólnosiwiatowej. Muszą być zatem podmioty i struktury, zasady i instytucje, które będą uprawiały politykę globalnych finansów publicznych.

Wartości też wędrują. Przykładowo, fundamentalnie przeistoczyły się w Polsce za czasów ostatniego pokolenia. Zmieniają się nie tylko w dojrzewających wciąż gospodarkach transformacji ustrojowej, ale również w krajach wysoko rozwiniętego kapitalizmu, różniąc się przy tym od siebie w tym samym czasie w rozmaitych miejscach, jak chociażby po obu stronach Pacyfiku, w Japonii i Stanach Zjednoczonych. Wystarczy zagłębić się w porównania kulturowe i systemowe, aby wygłosić semestralny wykład na temat różnic między kapitalizmem japońskim i północnoamerykańskim albo nawet występujących w ramach Unii Europejskiej między nordyckimi społecznymi gospodami rynkowymi a neoliberalnymi gospodarkami wysp brytyjskich.

Wartości bez wątpienia będą zmieniały się również w przyszłości. Niestety, ekonomiści mają tendencję do niedoceniań wartości jako czynnika rozwoju. Z jednej strony przesadzają z analizą takich "twardych" czynników, jak stopy procentowe, podatki czy kursy walutowe, z drugiej zaś wykazują brak zrozumienia, a niekiedy wręcz lekceważenie dla czynników "miękkich", jak wartości właśnie. Stąd też bierze się wiele nieporozumień, czasami o daleko idących następstwach. I tak, przykładowo, nie da się wyjaśnić na gruncie tradycyjnej analizy ekonomicznej, zwłaszcza neoliberalnej, obecnego kryzysu amerykańskiego. Błędem jest przekonanie – i próba – przewyciężenia go poprzez obniżanie stóp procentowych, bo nie da się tego kryzysu przewyciężyć w taki sposób. To swoiste "zamiatanie pod dywan", czym można trochę załagodzić przejawy, ale to bynajmniej nie usuwa sprawczych, strukturalnych przyczyn. A one po części tkwią w systemie wartości (a także w instytucjach i polityce, o czym za chwilę), silnie związanych z – i narzucanych przez – neoliberalny model amerykańskiego kapitalizmu. Bez przeorania wartości nie ostatni to taki kryzys...

Tak więc wartości muszą i będą się zmieniać. Aby wiedzieć, jak będzie wyglądała przyszłość, trzeba postawić sobie kilka pytań na gruncie deskryptywnym:

- co to są wartości?
- od czego zależy ich dynamika i struktura?
- gdzie i dlaczego, w jakim tempie i kierunku będą się zmieniać?

Przechodząc zaś do ujęcia normatywnego – a w książce rozwijam to szeroko proponując kompleksowe podejście, które określam jako nowy pragmatyzm – trzeba odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jak wpływać na kształtowanie pożądanego z punktu widzenia postępu cywilizacyjnego wartości w długim okresie? W długim, bo w okresie krótkim i średnim, a czasami nawet pokolenia całego czy wręcz w niektórych okresach historycznych kilku pokoleń, wartości są zastane i dane. Jeśli nie nic, to nie wiele można zrobić. Ludzie wierzą, ludzie kochają, ludzie nienawidzą, są pracowici, są leniwi, wędrują albo dreptają w miejscu, wyobrażają sobie coś, zakładają jakoś. To, co kiedyś było dla poniekąd oczywiste, jak choćby palenie dziewczyn na stosie, dzisiaj jednych śmieszy, drugich zaś oburza, jak w ogóle do takich bezeceństw i zbrodni – w imię wyższych wartości, rzecz jasna – w ogóle mogło dojść. Tak więc wartości "wędrują", bo się zmieniają w czasie i przestrzeni. Znając ich wpływ na sposoby gospodarowania, trzeba na nie sensownie oddziaływać. Nade wszystko zaś trzeba je rozumieć i uwzględniać w ekonomii rozwoju.

Wędrują także instytucje. Traktuję je behawioralnie, nie organizacyjnie. Instytucje to reguły gry ekonomicznej, to zasady postępowania. Całą posocjalistyczną transformację

można – i należy – interpretować przede wszystkim jako reinstytucjonalizację gospodarki, społeczeństwa i polityki. Podobnie jest z procesem emancypacji krajów mniej gospodarczo zaawansowanych, ich "wyłaniania się". Ewoluuje zatem reguły gry, w ramach których dokonuje się potężna wędrówka do przodu – ludzi i ich wartości, towarów (zarówno dóbr, jak i usług), a także sposobów rozwiązywania sprzecznych interesów.

Gdy zaś o interesach mowa, a zwłaszcza o ich sprzecznościach, to jesteśmy już w sferze polityki. Nie politykierstwa w stylu spływającym z ekranów telewizorów i szpalt gazet – kto kogo, kto z kim, kto za ile – tylko kreatywnej polityki jako inteligentnej umiejętności wytyczania *ex ante* właściwych strategicznych celów rozwojowych poprzez pokazywanie obiektywnej sprzeczności interesów, a następnie wyeksponowania konfliktogenności sytuacji i próby rozwiązywania tej konfliktogenności zanim sytuacja staje się konfliktowa. Jak się tego nie potrafi, to płaci się za to wysoką cenę ponosząc koszty, nie tylko *stricte* finansowe, ale także społeczne i polityczne, a niekiedy cywilizacyjne. Wtedy działa ta wspaniała i potężna, niewidzialna ręka rynku, korygując dysproporcje, która sama wcześniej spowodowała.

Notabene, w ten właśnie sposób można zinterpretować obecny kryzys amerykański, podobnie jak masę zjawisk z przeszłości, a także z przyszłości. Skoro nie starcza inteligentnej polityki bądź strategii *ex ante*, to *ex post* następuje niezbędna korekta w postaci kryzysu. Teraz wszakże ponosi się już koszty większe niż te, które wystąpiłyby w przypadku umiejętnego odreagowania w sferze polityki przed szkodą, a nie po niej. Przecież u USA można było spowolnić tempo wzrostu produkcji rozkładając inaczej koszty i korzyści tego spowolnienia. Oczywiście, wtedy też byłyby pewne koszty – ponoszone nie tylko wewnątrz, ale i na zewnątrz ze względu na współzależności występujące w gospodarce światowej – ale wówczas mniej by "drewna rąbano" i mniej "wiórów by leciało". No, ale krótkowzroczność polityków i finansistów, zwłaszcza spekulujących inwestorów, podporządkowanie strategii gospodarczej oczekiwaniom wąskich grup interesów, a nade wszystko opieranie polityki i strategii makroekonomicznej na fałszywej doktrynie, a mianowicie na neoliberalizmie, zrobiły swoje.

Neoliberalizm – ta ostatnia wielka utopia XX wieku – wykorzystująca w cyniczny sposób takie wspaniałe hasła uczciwego liberalizmu, jak wolna przedsiębiorczość, prywatna własność, konkurencja, demokracja. Czyni to w niecznych celach maksymalizacji przychodów wąskich elit, i tak już nieźle finansowo i gospodarczo wysforowanych w dziejowym procesie rozwoju, kosztem większości społeczeństwa. Trzeba przyznać, że od strony socjotechnicznej robi to znakomicie, skutecznie narzucając interesy mniejszości jako interesy ogółu. A przecież oczywiste powinno być, że dla zrównoważonego rozwoju trzeba umieć, poruszając się w ramach dominujących wartości, odpowiednio w danym etapie cywilizacyjnej ewolucji zdefiniować cele tegoż rozwoju i realizować właściwą strategię. A to jest możliwe wtedy i tylko wtedy, gdy opiera się ona na poprawnej teorii.

Rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele rzeczy dzieje się naraz. To na pozór banalne sformułowanie na swój sposób jest odkrywcze. Otwiera oczy, pokazuje, że w badaniach i teoretycznych interpretacjach trzeba wyjść z gorsetu ujęcia wąsko ekonomicznego. Może to obrazoburcze, w szczególności na spotkaniu w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym, ale powtórzę po raz kolejny, że na gruncie samej li tylko tradycyjnej ekonomii ekonomiści nie potrafią wyjaśnić istoty procesu rozwoju gospodarczego. A przecież to jest najważniejszy problem, domena nauk ekonomicznych. W przyszłości coraz wyraźniej stać będziemy w obliczu alternatywy:

- albo ekonomia potrafi wykroczyć poza opłotki wąskiego podejścia i sięgać do innych nauk przykładając do oceny zjawiska i procesów szkiełka uczonych z innych dyscyplin – i to nie tylko z nauk jej najbliższych, jak socjologia, nauki polityczne, psychologia społeczna, historia gospodarcza, ekologia, ale także takich, jak antropologia, kulturoznawstwo, filozofia, a nawet technologia, nauka o sieci czy studia nad przyszłością;

- albo ekonomia będzie coraz częściej udzielała coraz mniej zadowolających odpowiedzi na nurtujące świat i ludzi pytania.

W książce "Wędrujący świat" próbuję ująć roztrząsane kwestii w sposób interdyscyplinarny. Tak jak Einstein mawiał, że myślenie ma przyszłość, powiadam, że interdyscyplinarne myślenie ma wielką przyszłość. Najciekawiej – i intelektualnie najbardziej płodnie – jest na styku dyscyplin. A wąsko specjalistyczne myślenie ma przyszłość, ale dla wąskiej grupy specjalistów. I nigdy nie odpowie kompleksowo, a więc prawidłowo, na pytanie, dlaczego jest tak, jak jest, jak do tego doszło, a nade wszystko jak z tego wyjść i dalej wędrować do przodu.

Dlatego też trzeba odchodzić od manieri, silnej nie tylko w ekonomii, ale również w innych naukach, zbyt daleko posuniętego ułatwiania sobie rozważań. Z jednej strony chodzi tu o redukcjonizm, próbę wyjaśnienia skomplikowanego mechanizmu wzrostu gospodarczego i rozwoju społecznego przy pomocy jakiegoś jednego czy co najwyżej kilku czynników. Że oto wszystko, dajmy na to, zależy od postępu technicznego. Albo ktoś inny powiada, że skądże znowu, przecież wiadomo, iż wszystko zależy od kapitału ludzkiego. Ktoś inny z kolei, że akurat nie, bo wszystko zależy od tego, ile jest sektora prywatnego albo – jak kiedyś – państwowego. Albo od wysokości realnych stóp procentowych czy też od systemu i poziomu kursu walutowego współdecydującego o międzynarodowej konkurencyjności przedsiębiorstw – raz to zupełnie sztywnego, innym razem całkowicie płynnego. Z drugiej natomiast strony chodzi o uniwersalizm, a zwodnicze próby wciśnięcia jakże złożonej rzeczywistości w "złotą" na pozór formułę. Neoliberalne podejście typu *one size fits all* jest tego znakomitym – a raczej fatalnym – przykładem.

Otóż nie, nie tędy droga. "Wszystko" bowiem zależy od zbiegu okoliczności, od powstania określonego kompozytu zjawisk i procesów – nie tylko z obszaru gospodarczego, ale również ze sfery technologicznej, przyrodniczej, geopolitycznej, społecznej, kulturowej, który to zbieg okoliczności warunkuje powstanie i zaistnienie, albo i nie, przetoczenie się, albo i nie, jakiegoś zjawiska i procesu. I dlatego właśnie pewne rzeczy – zjawiska i procesy – dzieją się tak, a nie inaczej. Jedne ruszyły z miejsca, a inne się zahamowały. Jedni weszli na ścieżkę rozwoju, a inni tkwili bądź tkwią nadal w zastoju.

Tak długo jak istnieje człowiek i cywilizacja nie ma i nie będzie żadnego końca historii. Ma ona przed sobą cały czas otwartą nową kartę. Gdy tylko tak dobrze rozejrzeć się wokół, gdy się dużo czyta i liczy – wiedząc nie tylko jak liczyć, ale i po co – gdy się podróżuje i ogląda, to widać to wyraźnie. Tym bardziej i wyraźniej, gdy wiedzę wzbogaca porównywanie. Takiej książki jak "Wędrujący świat" nie może napisać ktoś, kto z jednego tylko pieca chleb jadł. Spenetrowałem ponad 130 krajów na świecie. Ciągłe się różnym rzeczom przyglądam. Podróżowanie to porównywanie, a porównywanie to wiedza. By tworzyć naukę, a więc dokładać kolejne nowe segmenty do istniejących zasobów wiedzy, trzeba porównywać. Kto nie porównuje, ten nie wie. Oczywiście, niekoniecznie trzeba podróżować, aby porównywać, ale wtedy jest to dużo łatwiejsze.

Wędrując po świecie – a przede mną, po niedawnej do Iranu, Kataru, Bahrajnu i Kuwejtu, kolejna wędrowka, tym razem do Kolumbii, Wenezueli, Trynidadu i Tobago, Gujany i Surinamu – zastanawiam nad tym, dlaczego tu jest tak, jak jest albo jak tutaj było kiedyś z porównaniu z tym, co jest teraz. Także tu, w naszym pięknym nadwiślańskim kraju, wielu ludziom zawsze wydawało się za ich życia – no bo kiedyż by? – że to jakby już koniec historii. Ale ona nie kończy się na naszym życiu ani nawet na życiu następnego pokolenia czy dwu. Trochę lepiej jest ze społeczeństwami, te bowiem wykazują zdecydowanie więcej troski o ciągłość niż jednostki czy nawet rodziny. Jednakże mało kto ma zdolność do myślenia w kategoriach interesów następnych pokoleń. Wieszczy woła: "sięgaj, gdzie wzrok nie sięga", a człowiek powiada "bliska koszula ciału"... Dlatego też trzeba nie tylko poszerzać pole obserwacji – dosłownie, w ujęciu geograficznym i kulturowym, oraz znaczeniowo, poprzez

podejście interdyscyplinarne (albo, jak podkreślają to niektórzy recenzenci książki, holistyczne czy eklektyczne) – ale także wydłużać czasową perspektywę analizy tak do tyłu, retrospektywnie, jak i zwłaszcza do przodu, prospektywnie. Trzeba umieć wędrować w czasie i przestrzeni.

Warto to robić nie tylko ze względu na samoistną intelektualną ciekawość, ale także po to, by pokazywać znaczenie, wagę wielką takiego pokoleniowego myślenia. Gdyby kilka pokoleń temu zadawano sobie pytania, które teraz zadaje, to bylibyśmy w dużo lepszej sytuacji. My też musimy stawiać sobie pewne zupełnie nowe pytania w toczącej się grze o przyszłość. To bowiem od odpowiedzi na nie "dziś" zależy to, czy "pojutrze", za kilka pokoleń, będą nas podziwiać, czy też przeklinać. Zależy to od tego, jak potrafimy rozwiązywać piętrzące się problemy, a przecież pomimo historycznych osiągnięć wciąż jest ich mnóstwo.

Z długofalowym rozwojem społeczno-gospodarczym mamy do czynienia wtedy, kiedy zbiega się wiele tendencji. W szczególności chodzi tu o imperatyw koincydencji pięciu czynników:

- postępu technicznego;
- krytycyzmu;
- wiedzy ekonomicznej;
- woli politycznej;
- otwarcia.

To wszystko prowadzi do koincydencji teorii rozwoju, ujęcia deskryptywnego, oraz do nowego pragmatyzmu, ujęcia normatywnego. Przy pomocy tej teorii można zinterpretować każdy bez mała proces rozwojowy czy też opisać sytuację istniejącą w danym kraju. Przy odpowiednim zasobie informacji o sytuacji geopolitycznej, demograficznej, kulturowej, politycznej, społecznej, zasobowej i, koniec końców, ekonomicznej. Albo, jak kto woli, można od niej zacząć, ale wszystkie pozostałe obszary muszą być postrzegane, bo dopiero wtedy widać, co od czego zależy w procesach rozwoju.

Z kolei podchodząc normatywnie, a więc postulatywnie, można w oparciu o nowy pragmatyzm pokazać, co robić, aby było lepiej. Gdy pytają w Chinach czy Rosji, w Brazylii czy Nigerii, Algierii czy Wietnamie, Włoszech czy Irlandii, co robić, to odpowiadam opierając się właśnie na analizie i wnioskach w ramach teorii koincydencji rozwoju. To z niej wyprowadzany jest nowy pragmatyzm. O ile pierwsza odpowiada na pytanie: "dlaczego jest tak, jak jest", o tyle drugi mówi: "co zrobić, aby było lepiej". Gdy pytają w Polsce – a pytają inni ekonomiści, przedsiębiorcy i dziennikarze, a ostatnio znowu politycy – to też odpowiadam.

Dalszy tok rozumowania doprowadza mnie do zredefiniowania celu rozwoju społeczno-gospodarczego. Chociaż sam, podobnie jak wszyscy ekonomiści, też opieram się na analizach postrzeganych przez pryzmat zmian PKB, to przecież świadom jestem wszystkich ułomności tej najsłynniejszej z ekonomicznych miar. Mimo to w tej wspaniałej podróży po miejscach i epokach ryzykuję i w ślad za znakomitymi historykami gospodarczymi pokazuję, jak rósł (albo i nie) PKB za czasów Dariusza, Aleksandra Macedońskiego, Nerona, Bolesława Chrobrego... Albo ile ludzie produkowali i konsumowali wtedy, kiedy Szekspir pisał swoje dramaty... Albo wtedy, kiedy Wagner komponował swoje opery...

Sprowadzając rzeczy do przyszłości, uważam, że coraz bardziej trzeba iść – i pójdziemy, także w ekonomii – w kierunku "być", a coraz mniej "mieć". Relatywna waga zmian ilościowych, a zwłaszcza przyrostu wartości produkcji mierzonej w klasycznych kategoriach produktu brutto (PKB) będzie coraz mniejsza. W to miejsce proponuję szerszą, zasadniczo bardziej adekwatną dla istoty sprawy miarę postępu społeczno-gospodarczego – zintegrowany indeks pomyślności, ZIP. Na razie przedstawiam koncepcję ogólną. Dalsze

prace – interdyscyplinarne – wymagają operacjonalizacji tej miary, olbrzymich i skomplikowanych badań – nie tylko ekonomicznych, ale także socjologicznych i psychologicznych – oraz stworzenia właściwej bazy statystycznej. Potrzebne są także badania ankietowe, zorganizowane systemowo, w oparciu o perfekcyjne metody socjologiczne. Konieczne jest tworzenie szeregów czasowych, które umożliwią porównywanie w czasie i przestrzeni – obserwowanie zmian w odniesieniu do tych samych populacji w różnych okresach oraz porównywanie sytuacji występującej w tym samym czasie pomiędzy różnymi grupami społecznymi i krajami.

To wszystko jest możliwe, to wszystko jest trudne, to wszystko będzie się dziać, to wszystko wymaga czasu, nakładów, a przede wszystkim przekonania, że tędy droga. Jest to zasadnicze poszerzenie tego, co zaproponował już lat temu kilkanaście Amartya Sen i na czym opiera się ONZ w swoich wielce przydatnych analizach i porównaniach kapitału ludzkiego. Jego indeks, znany jako Human Development Index, HDI, wyliczany jest jako zagregowana wielkość uwzględniająca trzy równoważne elementy, każdy ważący w syntetycznym wskaźniku po jednej trzeciej: poziom produkcji (mierzony wielkością PKB na mieszkańca), stan zdrowia (w uproszczony sposób mierzony długowiecznością, czyli średnią długością życia) oraz stan oświaty (mierzony umiejętnością czytania i pisania ludzi w wieku ponad 15 lat oraz stopniem skolaryzacji, zwłaszcza na szczeblu podstawowym i średnim).

W ZIP proponuję uwzględnić ponadto wycenę czasu wolnego, pomijanie znaczenia którego jest wielkim uchybieniem w całym rozumowaniu ekonomicznym. Przy tej właśnie sposobności widać, jak dalece zwodnicze i mylące może być wnioskowanie ekonomiczne. Weźmy oto tylko taki przykład. Zachodni Europejczycy w ciągu ostatniego pokolenia zdecydowanie preferowali w swoich wartościach przyrost zasobów czasu wolnego nad wzrostem dochodów. I to jest podstawową przyczyną różnic pomiędzy obecnymi przeciętnymi dochodami po obu stronach Atlantyku, a nie to co się najczęściej – zwłaszcza w błędnych interpretacjach neoliberalnych – sugeruje, że jakoby Amerykanie są bezwzględnie bardziej konkurencyjni, cechują się zawsze lepszą jakością zarządzania, mają wyższą efektywność kapitału i wydajność pracy. To jest nieprawda. Otóż w roku 1970 przeciętny Amerykanin pracował około 1900 godzin, a zachodni Europejczyk około 1850. Można powiedzieć – nieistotna to różnica. Przez blisko 40 lat trwał nieustanny postęp w sferze efektywności tu i tam, biorąc się z jednej strony z postępu technicznego, z drugiej zaś z poprawy jakości kapitału ludzkiego. Towarzyszący temu wzrost wydajności pracy zawsze przynosi pytanie – tak na płaszczyźnie mikro-, jak i makroekonomicznej, tak w odniesieniu do jednostek, jak i całych społeczeństw – jak dzielić efekty wzrostu wydajności pracy na przyrost zasobów czasu wolnego i przyrost dochodów.

Szef w firmie może zaproponować pracownikowi, na tle poprawy sytuacji finansowej w związku ze wzrostem jego wydajności (i przychodów firmy) podwyżkę o 10 procent, ale tenże pracownik może woleć wychodzić z pracy codziennie około 17-ej, a nie po 18-ej, i mieć więcej czasu na wydawania dotychczasowego dochodu. To jest sprawa wartości i preferencji indywidualnych i grupowych oraz wynikających stąd wyborów. I Europejczycy, w odróżnieniu od Amerykanów, tak mówią. Cenią sobie w ostatnim pokoleniu-dwu bardziej przyrost czasu wolnego niż pieniędzy. Wcześniej wychodzą na fajrant, mają dłuższy weekend, jeżdżą na miesięczne wakacje, szybciej przechodzą na emerytury. W Ameryce Północnej trudno znaleźć kogoś, kto choć raz w życiu był na całomiesięcznych wakacjach, a w Europie – w Polsce też – znaleźć trudno kogoś, kto by na takich wakacjach przynajmniej co parę lat nie był. Wcześniej wychodzi z pracy i szybciej przechodzi się na emerytury. Pracuje się mniej, to i mniej się zarabia, ale to nie to samo, co niższa wydajność, efektywność, konkurencyjność. I tak obecnie w Europie Zachodniej pracuje się przeciętnie tylko około 1450 do 1600 godzin rocznie, podczas gdy w USA – bogatszych w pieniądze, ale uboższych w swobodny czas – wciąż aż około 1850 godzin.

Wobec tego to jest kwestia wartości. Im są podporządkowane instytucje, temu służy polityka. A więc znowu triada: wartości – instytucje – polityka. Możemy wchodzić w szczegóły, dyskutować o jakości zarządzania i profesjonalizmu kadry, o rzeczywistej efektywności, o wydajności siły roboczej oceniając ją poprzez pryzmat jakości kapitału ludzkiego i społecznego, z jednej strony, czy też zaawansowania technicznego, z drugiej strony. Oczywiście, występują tu różnice, niekiedy wciąż znaczne. Są wszakże i takie miejsca, gdzie to Europa daje sobie lepiej radę niż Ameryka Północna, wykazując się wyższą efektywnością kapitału i wydajnością pracy. Generalnie zaś zróżnicowanie dochodów – bo zaiste Amerykanie mają PKB na głowę około 45 tysięcy dolarów, podczas gdy zachodni Europejczycy dwie trzecie, może cztery piąte tego poziomu – bierze się z tego, że my mamy dużo więcej czasu wolnego. Jeśli ten czas teraz wycenić i dodać do posiadanych pieniędzy, to okaże się, że różnice w standardzie życia w dużym stopniu zanikają. I to proponuję w ZIP.

Ale nie tylko. Bo jeśli teraz jeszcze wycenić wartość środowiska naturalnego, w którym żyjemy – odpoczywamy i pracujemy – to obraz jeszcze dalej się zmienia. Akurat tym razem, w ujęciu porównującym sytuacje po obu stronach północnego Atlantyku, bardziej na korzyść Amerykanów. A wartość środowiska naturalnego rośnie i nadal będzie rosła. Ludzie niedługo będą dodawać wycenę zieleni trawy i świeżości powietrza, śpiewu ptaków i zapachów kwiatów do pieniędzy, do swoich dolarów i euro, złotych i rubli, funtów i jenów, które zarabiają i wydają. Może wciąż jeszcze to się ekonomistom nie śni, ale niektórym już zaczyna się przyśniwać. I nie tylko, bo podejmowane są metodologiczne próby sprowadzenia takich założeń na grunt praktyczny. W "Wędrującym świecie" idę dalej jeszcze w tym kierunku i pokazuję, na czym ma polegać ta metoda i jak, mniej więcej, taką "pomyślność" z w sposób zintegrowany, umożliwiającą porównania, można by szacować. Jest to wielce skomplikowane, zwłaszcza że indeks zawiera także wycenę innych elementów sytuacji społeczno-gospodarczej i kulturowo-politycznej związanej z jakością rządzenia, stanem kultury, subiektywnymi ocenami społeczeństwa.

Wracając zaś na chwilę to PKB, to współcześnie żyjemy w okresie bardzo szybkiego wzrostu gospodarczego. Nie mówi się już o żadnych tygrysach ani cudach gospodarczych jak pokolenie czy dwa temu – a w przypadku naszego kraju nie tak dawno, bo w czasie realizacji "Strategii dla Polski" w latach 1994-97, kiedy to PKB na mieszkańca skoczył aż o 28 procent – choć połowa ludzkości żyje w krajach z około 7-procentowym tempem wzrostu PKB. Od razu trzeba zaznaczyć, że ta zdecydowana większość tej części ludzkości to liczące ponad 1,3 miliarda mieszkańców Chiny i ponad miliardowe Indie. Warto przy okazji sobie uzmysłowić, że w sytuacji zerowego wzrostu produkcji wszędzie indziej na świecie i tak światowy produkt globalny rośnie o 2 procent tylko dlatego, że rośnie on o ponad 10 procent w Chinach i ponad 8 w Indiach. Skoro w tym roku światowa produkcja zwiększa się w sumie o jakieś 3,7 procent, to aż w 30 procentach jest to wkład Chińczyków i Hindusów, bo to te dwa najbardziej ludne kraje, z 2,3 miliarda ludności, przesadzają o dynamice świata.

W czasach, dla których mamy w miarę "twarde" dane statystyczne, powiedzmy w ciągu ostatnich 5-8 pokoleń, czyli lat stu, stu kilkudziesięciu, tak wysokiego tempa wzrostu PKB na mieszkańca Ziemi, jakie mamy przeciętnie w ciągu ostatnich pięciu lat, nie było nigdy. Być może, że to jest w ogóle okres najszybszego tempa wzrostu PKB w dziejach, od ich zarania, od trzech milionów lat, od których ludzie zamieszkują tę Ziemię. Nieodzwonne jest przy tym podkreślenie, że chodzi tu o wzrost na mieszkańca. A – przypomnijmy – udało się nam podczas minionego pokolenia rozwiązać, przynajmniej po części, jedno z największych utrapień ludzkości, a mianowicie kwestię nadmiernego przyrostu ludności. Obecnie rośnie ona o cały punkt procentowy wolniej niż pokolenie zaledwie temu. To fundamentalna zmiana. No, ale i tak stoi przed nami pytanie, czy da się utrzymać obecne, rekordowe tempo wzrostu gospodarczego utrzymać? A ponadto – co jeszcze ciekawsze i

ważniejsze – czy warto, skoro rzecz nie we wzroście ilościowym mierzonym PKB, lecz w towarzyszących mu zmianach jakościowych odzwierciedlanych w ZIP?

W dziesiątym rozdziale książki, ostatnim i zarazem najdłuższym, zatytułowanym "Niepewna przyszłość" piszę o dwunastu Wielkich Sprawach Przyszłości. Tak właśnie – dużymi literami: W, S, P. Tutaj rzut oka tylko na trzy wielkie klasy problemów:

- Kultura przez hiper K, bo chodzi o poruszanie się we wspomnianej już triadzie wartości – instytucje – polityka;
- równowaga, a dokładniej nierównowagi wstrząsające światowym układem gospodarczym i politycznym;
- zasoby i ich wyczerpywanie się.

Kultura. Świat i ludzkość stoi w obliczu dramatycznego, a zarazem fascynującego od strony implikacji praktycznych wyboru: czy teraz, w wieku XXI i następnych – powędruje raczej w kierunku na podobieństwo wspaniałego sukcesu, jakim była amerykanizacja podczas ostatnich dwóch, trzech stuleci, czy też przydarzy się raczej to, co niektórzy określają jako zderzenie cywilizacji i ludzie raz jeszcze skoczą sobie do gardeł, podrzynając je a to w przenośni, a to dosłownie.

Amerykanizacja doprowadziła do tego, że poprzez słynny tygiel kulturowo-etniczny, przy olbrzymiej konfrontacyjności zjawisk i konfliktogenności procesów za nim się kryjących, wyłonił się w rezultacie długofalowego rozwoju najbardziej gospodarczo rozwinięty wielki kraj – Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Powstał jedno państwo z jedną gospodarką narodową, jedno społeczeństwo i jedna kultura, choć jakże bogata w swojej heterogeniczności, na której głównie budowano i tworzono, a mało rozbijano i niszczone. Jest tam jeden język, choć przy różnych okazjach i w wielu miejscach często słyszy się także inne, ale ten jeden najważniejszy stał się niejako po drodze współczesną *lingua franca*. Jest tam jeden pieniądz i jeden prezes banku centralnego użera się z jednym ministrem finansów. A przecież niewiele brakowało, by stało się coś innego. Wystarczyło tylko, by okoliczności zbiegły się w nieco inną konfigurację i już nie przetoczyłaby się masa krytyczna procesu, który ukształtował USA. W ich miejsce mogło być pięćdziesiąt krajów z wieloma językami i mielibyśmy biedną hiszpańskojęzyczną Florydę, może trochę wyżej rozwinięte francuskojęzyczne państwo o nazwie Luizjana, dalej na północy byłaby anglojęzyczna Pensylwania, Indianie Dakota w swoim niepodległym państwie mówiliby nadal w języku Dakota, bo nie daliby się wyciąć białym. Król Kamehameha z numerkiem chyba już dziesiątym rządziłby w pięknym i niezawisłym polinezyjskim królestwie Hawaje, a Alaska byłaby niepodległym państwem z oficjalnym językiem rosyjskim i bardzo silnymi wpływami cerkwi prawosławnej, a kolorowych cerkiewek byłoby tam jeszcze więcej, niż jest. Mielibyśmy rozległy obszar porozdzielany taryfami celnymi, z pięćdziesięcioma walutami, w których pięćdziesięciu ministrów finansów użerałoby się z pięćdziesięcioma prezesami banku centralnego na temat pięćdziesięciu kursów walutowych i pięćdziesięciu stóp procentowych swoich pięćdziesięciu narodowych walut.

Z drugiej strony, na południu kontynentu, inaczej zbiegły się okoliczności uniemożliwiając powstanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Południowej, choć przecież dwa wieki temu było to zupełnie prawdopodobne, nie mniej niż zwieńczone powodzeniem powstanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Gdy w końcu 1830 roku umierał Simon Bolivar, ten wielki *Libertador* powiedział: "Trzech było głupców w dziejach ludzkości – Jezus, Don Kiszot i ja." Jezus, wiadomo; zmarł męczeńską uśmiercą na krzyżu, żeby odkupić ludzkość od grzechu, a tu przez dwa tysiące lat ludzie nadal grzeszą, chrześcijanie nie mniej niż wyznawcy innych religii. Don Kiszot, wiadomo: symbol, bo wierzył w iluzje, choć – jak mu się zdawało – miał wizję. No i Simon Bolivar, który marzył o Gran Columbia, olbrzymim, niepodległym, wyrosłym z post-iberyjskiego kolonializmu państwie i narodzie na obszarze obejmującym mniej więcej dzisiejszą Wenezuelę, Kolumbię, Peru, Ekwador i część

Boliwii. Marzyło mu się coś na kształt jednej "gospodarki narodowej", w której jeden minister finansów użerałby się z jednym prezesem banku centralnego na temat jednego kursu jednej waluty i wysokości jednej stopy procentowej... Mogło powstać potężne państwo, opierające się o jedną kulturę, religię, język. Nie wiele do tego brakowało. Pewnie dwieście lat temu dużo mniej niż podczas współczesnych ciągów integracyjnych. Nie powiodło się i Gran Columbia rozpadła się jak domek z kart wraz z odejściem Bolívara po zakończeniu jego ziemskiej wędrówki. Nie udało się, bo tak przesądziła koincydencja okoliczności. Ekonomicznych, geopolitycznych, kulturowych, społecznych.

Nie chodzi tu bynajmniej o fantazjowanie ani nawet o rozważania, skądinąd wielce inspirujące, w kategoriach historii alternatywnej, ale o pokazanie raz jeszcze, że rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele rzeczy dzieje się naraz. Powtórzmy: wiele z tego, co zaszło, wcale stać się nie musiało. I na odwrót: wiele z tego, co się nie stało, doprawdy stać się mogło. Takż i powiedzieć będziemy mogli w przyszłości o przeszłości, która teraz wciąż jeszcze jest przyszłością.

Równowaga. A dokładniej nierównowaga to drugi wielki problem. I tym razem bardzo skrótowo, choć akurat tu ekonomiści mają szczególnie wiele do powiedzenia. Nierównowaga ma wiele aspektów, ale tu tylko o finansowym i handlowym. Świat jest bardzo mocno niezrównoważony. Dokładniej mówiąc, nie tyle świat, bo świat jest jedyną gospodarką zamkniętą, gdzie wywóz równa się przywóz, eksport równa się import, plus równa się minus. Na świecie nie ma ani nadwyżki, ani deficytu w handlu czy bilansie obrotów bieżących. No, ale ten świat – tak bardzo zintegrowany i współzależny wskutek toczącej się globalizacji, o czym w książce traktuje też cały rozdział – wciąż pozostaje zlepkiem blisko dwustu gospodarek narodowych. I każda z nich ma saldo rachunku obrotów bieżących i saldo handlu. Nigdzie, chyba że dosłownie przez mgnienie oka, nie równa się ono zero; to byłby dopiero dziwny przypadek! Każdy ma jakieś odchylenie *in minus* lub *in plus*, przy czym do pewnego poziomu różnice te mogą być spokojnie akceptowane i o niczym złym nie świadczą. Czasami świadczą wręcz o czymś dobrym – w zależności od tego jak są finansowane w przypadku deficytów albo jak są wykorzystywane w przypadku nadwyżek. Inne, rzecz jasna, są przyczyny i skutki obu rodzajów odchylenia od równowagi. Przecież z czego innego wziął się deficyt w Polsce, a z czego innego w Stanach Zjednoczonych. Inaczej jest kreowana olbrzymia nadwyżka w Rosji, a inaczej w Chinach, choć w jednym i w drugim przypadku w ostatniej instancji biorą się z nadwyżki wpływów z eksportu nad wydatkami na import.

Jeśli dodać dla wszystkich krajów świata, czyli dla wszystkich gospodarek wciąż narodowych, wszystkie deficyty i wszystkie nadwyżki na rachunku obrotów bieżących, to taki super-wskaźnik tak zagregowanej wielkości zrelatywizowanej do wartości światowej produkcji, wynoszącej według rynkowych kursów około 54 biliony dolarów, oscyluje wokół 6 procent. Świat jest w stanie bardzo głębokiej nierównowagi. Oczywiście, inny jest sens ekonomiczny, inne są implikacje wychylenia w lewo, inne w prawo, ale jak się pada na twarz i boli rozbity nos, to przez chwilę jest nieważne, dlaczego człowiek upadł albo dlaczego gospodarka się potknęła, tylko jak z tego wyjść. Ostatnio Stany Zjednoczone się potknęły, bo nie potrafiły inteligentnie – poprzez przebudowanie wartości, reinstytucjonalizację i zmiany polityki – zmniejszyć skali nierównowagi *ex ante*. Aktualnie to już – a raczej dopiero – czynią, gdyż spada deficyt, zwłaszcza na rachunku obrotów bieżących do poziomu około 5 procent, a jeszcze niedawno sięgał 7 procent. Ale teraz jest to już bardziej kosztowne, niż mogłoby być przy wyższym poziomie strategicznej roztropności wykazanej *ex ante*. I teraz też znowu więcej "wiórów leci", bo i więcej "drzew się rąbie", a przy okazji cierpią także inni, często Bogu ducha winni. Wiadomo, współzależność gospodarek w epoce globalizacji.

Zasoby. To trzeci wielki kompleks zagadnień związanych z niepewną przyszłością. Widmo krążące nad światem – widmo wyczerpywanie się zasobów będących podstawą nie tylko wszelkiego gospodarowania, ale po prostu życia – coraz bardziej daje się we znaki. Ten

aspekt walki o przyszłość dotyczy także dyskusji o ocieplaniu się klimatu i ogólnej dewastacji naturalnego środowiska. Przy tym wszystkim jedni powiadają, że zasoby są niewyczerpalne; przecież zawsze coś odkryjemy. Inni mówią jakie ocieplanie, to jest po prostu normalna przyrodnicza faza tzw. małego ocieplenia, które następuje po tzw. małym oziębieniu. *Notabene*, o tym też piszę i tym razem pokazując, gdzie tkwią nieporozumienia, a gdzie – i dlaczego – celowo wprowadza się opinię publiczną w błąd.

Część zasobów z ich natury samej jest – bo musi być – nieodnawialna w czasie historycznym. A ten geologiczny nie nam jest dany. Mamy też obiektywnie do czynienia z ocieplaniem się klimatu wskutek gospodarczej aktywności człowieka i wszystkimi wynikającymi stąd zagrożeniami. To jest ewidentne. Rzecz w tym, że zasoby przetrzebiane są stopniowo, nawet jeśli przyglądać się temu przez czas życia całego pokolenia. Rzecz w tym, że jak się temperatura podnosi się zaledwie o 0,05° C średnio rocznie, to bywa to niezauważalne nawet przez całe pokolenie, choć nasze wydaje się już to jakby dostrzegać. Ja też pamiętam, że za dzieciństwa zima zawsze była biała i śniegu było pod dostatkiem u nas, w tczewskim parku, a teraz jest problem na Sylwestra w Tatrach, a bywa, że i w Alpach go nie starcza...

Co zaś do zasobów, to aby doprowadzić poziom produkcji jednych jedynych Chin do tego, którym się cieszy tak bogaty kraj, jak Stany Zjednoczone – nie mówiąc już o standardach krajów jeszcze bogatszych, jak chociażby Luksemburg czy Norwegia – trzeba byłoby zwiększyć zużycie materiałów, w tym nośników energii, aż 12-tokrotnie. Gdyby tylko chcieć dojść z obecnego przeciętnego poziomu dochodu (PKB) na mieszkańca Ziemi, który wynosi około 10 tysięcy dolarów (według paritetu siły nabywczej) do obecnego poziomu północnoamerykańskiego sięgającego 45 tysięcy dolarów, to przy obecnej materiał- i energochłonności produkcji potrzeba trzech kuli ziemskich. Braku dwu kul ziemskich nie załatwią nam dalsze odkrycia istniejących, ale wciąż jeszcze nam nieznanych bądź technicznie niedostępnych złóż na tej jednej jedynej Ziemi. To, oczywiście, ma znaczenie, ale skala musi tu być zawsze fizycznie ograniczona. Fakt, że odkryto i zweryfikowano ostatnio wielkie złoża ropy naftowej na zachodnim Atlantyku u wybrzeży Brazylii. Fakt, że Rosjanie opuścili w brawurowej akcji dwa batyskafy na dno Oceanu Arktycznego, poniżej lodowej czapy Bieguna Północnego, i wbili tam swoją tytanową flagę, dodając, że to *nasza ziemia*, a zaniepokojeni tym Amerykanie przyznają, iż tam znajduje się, być może, aż jedna trzecia jeszcze niedokładnie zidentyfikowanych zasobów mineralnych, w tym energetycznych. A to, że nie potrafimy ich wydobywać teraz, przy obecnym stanie technologii? Cóż, sto lat temu wydobywanie ropy naftowej głęboko spod dna oceanów wydawało się jeszcze większą mrzonką. Nauka i postęp techniczny ten problem rozwiążą – jak nie za jedno pokolenie, to za cztery, a ja nie za cztery, to za dziesięć. Ale i tak tych zasobów nie starczy.

Jak ktoś nie wie, jak wygląda wyczerpywanie się nieodnawialnych zasobów ziemi, to może pojechać w polskie Sudety. Tam są miejsca, które były kopalniami. Były, już nie są, bo wykopano wszystko. Zasoby zostały wyczerpane i się nie odnawiają. Górnicy pojechali gdzie indziej, ale i tam wykopano wszystko. No to jadą jeszcze gdzie indziej, ale i tam wykopią wszystko. Jeśli w międzyczasie w jakimś jeszcze jednym "gdzieś indziej" odkryjemy kolejne złoża, to i tamte też wykopiemy. Aż fizycznie nastąpić musi – w skali całej Ziemi – moment, kiedy pewnych zasobów zabraknie. Zabraknie, a przecież ludzi przybywa. I apetytów tychże ludzi na więcej kalorii, na więcej litrów i kilogramów, na więcej metrów i sztuk, na więcej jednostek energii i metrów kwadratowych mieszkań i parków. Zbliżamy się przeto od twardej ściany nieuchronnego wyczerpywania się nieodnawialnych zasobów, z którą zderzenie będzie wielce bolesne dla ludzkości. Już widzimy, jak silna jest presja na zwyczaję cen paliw w wyniku nigdy nie zdarzającego się w przeszłości przyrostu popytu na energię. I nie zmieni tego stanu rzeczy także przyspieszający znowu w obliczu kryzysu surowcowego i energetycznego postęp techniczny, w tym przesuwanie się w stronę korzystania w większym

stopniu z odnawialnych źródeł energii – wiatru, wody, słońca, biomasy. To pomoże, ale nie rozwiąże problemu niedostatku zasobów.

Są te zaiste wielkie problemy, a z wszystkich nich płynie pytanie, czy da się w przyszłości utrzymać dotychczasowe tempo wzrostu. Nie tylko to imponujące swoją rekordowością podczas ostatnich pięciu lat, ale nawet to, które będąc średniorocznie aż trzy razy niższe pozwoliło najzamożniejszym obecnie regionom świata wspiąć się podczas zaledwie dwu stuleci na wyżyny dostatku i bogactwa. Błędem, który jakże często czynią ekonomiści, w tym ekonomiści rozwoju, jest nieustanne ponawianie pytania, co zrobić, żeby przyspieszyć tempo wzrostu. To może być dobre pytanie w odniesieniu do niektórych gospodarek narodowych, które mają relatywnie niski poziom rozwoju, a zarazem mają stosowne zasoby naturalne, kapitałowe i ludzkie pozwalające im na utrzymanie szybkiego tempa wzrostu oraz wiedzą, jak kroczyć taką ścieżką. Ale to nie jest dobre pytanie dla całego świata, a tym bardziej dla krajów już uważanych przez innych i przez samych siebie za bogate.

Obecnie tzw. dobre pytanie brzmi raczej, co zrobić, aby Amerykanie i zachodni Europejczycy ponownie nie przyspieszyli. To, że tempo wzrostu PKB spadło w tym roku do około 1 procenta w tym pierwszym kraju i do około 1,6 procent w tej drugiej ich grupie, bynajmniej nie oznacza, że mamy do czynienia z jakimś "wielkim kryzysem". To nie pierwszy i nie ostatni bełkot części środowiska ekonomistów – dziennikarzy, publicystów i pseudouczonych. Kryzys, który obecnie ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, to tylko korekta ekscesów ślepej i zawodnej "niewidzialnej ręki rynku". Za ekscesy i błędy neoliberalizmu trzeba płacić, choć szkoda, że tak mało. To "mały kryzys" w porównaniu z tym poprzednim "wielkim", z lat 1929-33, a jeszcze mniejszy w porównaniu z tym, który dopiero nastąpi, a który w książce pokazuję jako Jeszcze Większy Kryzys. Tak właśnie, dużymi J, W, K.

Skoro już tak się stało, że PKB rośnie w najbogatszych krajach świata wytwarzających połowę światowej produkcji, chociaż zamieszkałych przez tylko siódmą część ludzkości, w granicach 1-1,5 procent, to warto by potrudzić się, aby tak było na długą metę. To przecież bogaty świat, z USA na czele, jest największym absorberem zasobów Ziemi, zarówno odnawialnych, jak i nieodnawialnych. To ta część świata jest największym trucicielem środowiska naturalnego, a nie Chiny, którymi straszy się inne kraje, tak jak kiedyś rodzice straszili dzieci, grzeczne albo i niegrzeczne, straszonym jakoby wilkiem.

To implikuje daleko idące konsekwencje. Jeśli świat ma zwolnić, bo nie jest w stanie takiego tempa wytrzymać ze względu na napięcia kulturowe, piętrzącą się nierównowagę i wyczerpywanie się zasobów, to przecież nie może ten postulat odnosić się do krajów, których mieszkańcy żyją w nędzy, chyba nie do tych ludzi, których aż miliard 400 milionów żyje za mniej niż dolara dziennie. A jak się żyje – i jak się umiera – przy tak niskich dochodach też w książce piszę, bo byłem tam i widziałem to na własne oczy w wielu miejscach tego wędrującego świata. W peruwiańskich Andach i w amazońskiej dżungli, na piaskach Sahary i w deltach rzek południowej Azji, na odległych wyspach Pacyfiku i w afrykańskim buszu. Kraje na średnim poziomie rozwoju – takie jak Polska – bynajmniej też nie mają zamiaru zwalniać; wręcz odwrotnie.

Konkluzja jest oczywista arytmetycznie i wielce złożona politycznie. Otóż zwolnić muszą – i to nie na rok, ale właśnie na długą metę – kraje bogate. Wysokie tempo wzrostu produkcji cieszącego ich społeczeństwa w poprzednich dekadach nie powinno być utrzymywane. Próba kontynuowania takiego stanu grozi konfliktem o niewyobrażalnych konsekwencjach, przy których wszystkie głupstwa, jakie ludzkość palnęła w przeszłości, będą wydawały się niewinnymi grzeszkami. Jeśli zwolnienie takie nie będzie świadomie zaplanowane i kontrolowane, jeśli nie będzie elementem strategii rozwoju opartej na koincydencji teorii rozwoju, jeśli nie posłuży się podejściem proponowanym w ramach

nowego pragmatyzmu, to i tak zostanie wymuszone, ale wtedy koszty żywiołowego i chaotycznego dostosowania – tegoż właśnie Jeszcze Większego Kryzysu – będą dużo, dużo większe.

Tak więc fundamentalne pytanie stojące przed ekonomią rozwoju i polityką gospodarczą to pytanie, jak inteligentnie, a więc *ex ante*, rozumnie i w sposób pokojowy, a zarazem koncyliacyjnie w skali tak wielce zdywersyfikowanego świata zwolnić tempo wzrostu, aby wędrować do przodu w sposób w miarę zrównoważony – środowiskowo, kulturowo, politycznie i, oczywiście, ekonomicznie, w tym zwłaszcza w ujęciu finansowym i handlowym.

Patrząc w tę niepewną przyszłość i pokazując na jej widnokręgu wspomniane dwanaście Wielkich Spraw Przyszłości to, co się stanie w przyszłości, można podzielić wpierw na dwie klasy:

- to co się stanie, bo stać się musi;
- to, co stać się może, ale nie musi.

W pierwszym przypadku zjawiska się pojawiają, procesy zajdą bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie. Nam – ekonomistom, nam – Europejczykom, nam – ludzkości. To jest już zdeterminowane, a to czynnikami astronomicznymi, a to przyrodniczymi, geologicznymi, geopolitycznymi, kulturowymi czy ekonomicznymi. Druga grupa to zjawiska i procesy, które mogą zaistnieć i się potoczyć, ale nie muszą. Wiedząc o tym zawczasu, *ex ante*, i wyznając określone wartości tam, gdzie na zaistnieniu lub zajściu czegoś nam zależy, trzeba temu pomóc świadomą działalnością, mając stosowną teorię i strategię, biznes-plan na szczeblu mikro- czy politykę w skali makroekonomicznej. Powstać musi swoisty kompozyt determinant, określona koincydencja okoliczności, która przetacza masę krytyczną decydującą o zaistnieniu zjawiska czy też o przebiegu procesu. Tam zaś, gdzie zważywszy na wyznawane wartości zależy nam akurat na tym, aby coś się nie stało, nie zaszło, trzeba to zablokować tak kombinując czynniki, by masa krytyczna nie powstała.

Tak metodologicznie patrząc na otaczającą nas – i nieustannie wędrującą, bo zmieniającą się – rzeczywistość, widać, że zdecydowanie więcej, niż się wcześniej wydawało, zależy od nas – jednostkowo, grupowo, środowiskowo, regionalnie, ale także globalnie, od nas jako całej ludzkości. Stoimy przed wielkimi wyzwaniami:

- jak racjonalizować globalizację?
- jak sterować światową gospodarką?
- jak zapewnić światowe dobra publiczne, do których współcześnie trzeba zaliczyć między innymi środowisko naturalne i bezpieczeństwo?
- jak zinstytucjonalizować na nowo gospodarkę światową?
- jak poradzić sobie z wielokulturowością i jej konfliktogennością?

W szczególności wiele uwagi poświęcam instytucjonalnym aspektom rozwoju, gdyż tu tkwi największe wyzwanie przyszłości i największa szansa zarazem. To jest ten obszar, gdzie będzie najwięcej zmian, więcej niż te, które przyniesie postęp techniczny i niż te, które przyniosą zaburzenia społeczne i próby ich rozładowania. Klucz do przyszłości tkwi w reinstytucjonalizacji gospodarki. Teraz wszakże idzie już o zmiany zasad funkcjonowania gospodarki światowej, coraz bardzo współzależnej wskutek postępującej liberalizacji i integracji, a więc wskutek postępów nieodwracalnej w tej fazie cywilizacji globalizacji. Świat wymaga nowych instytucji. Największe zmiany, jakie dokonają się w XXI wieku – już się dokonują – to zmiany instytucjonalne, które będą przeistaczać sposób funkcjonowania gospodarki światowej, bo nie będzie się ona kręciła przez następne sto lat ani pod dyktando, ani nawet w oparciu o neoliberalną doktrynę polityczną i ekonomiczną. To ta już wiednie i powoli schodzi ze sceny. I dobrze. Piszę o tym szeroko w jednym z rozdziałów książki pod znamienym tytułem: „Upadający neoliberalizm i jego marna spuścizna”. Można tam znaleźć

także sporo argumentów pokazujących naiwność i szkodliwość nadwiślańskiego neoliberalizmu dla długofalowego i zrównoważonego rozwoju.

Jak przeto rządzić światem, którym rządzić się nie da? Jak koordynować politykę w skali globalnej? Skoro są globalne, ogólnoswiatowe problemy, to jaka ma być strategia dla wieku XXI wieku? Kto ma być jej podmiotem, kto ma być jej weryfikatorem, kto ma być jej krytykiem, kto ma być jej egzekutorem? To są pytania, które stawiam w „Wędrującym świecie” i na które odpowiadam na tyle, na ile potrafię, na tyle, na ile udaje się wychwycić prawidłowości i ująć je w prawa obiektywnie rządzące mechanizmami procesu rozwojowego.

W takim oto kierunku biegają myśli autora, pytania i odpowiedzi. Tymi odpowiedziami dzielę się z czytelnikiem, oczekując na ich przyjęcie albo silniejsze kontrargumenty, jeśli ktoś potrafi je przytoczyć. Zapraszam wszystkich do niekończącej się wędrówki w czasie i przestrzeni i mam nadzieję, że ta interdyscyplinarna książka, napisana fragmentami w stylu dość niekonwencjonalnym określanym jako beletrystyka naukowa po to, aby się ja po prostu dobrze czytało, wywoła autentyczną i szeroką debatę intelektualną, naukową, polityczną. Książka jest napisana bardzo przystępnie. Uważam, że ekonomia powinna być tak prosta, jak to jest możliwe, ale nie prostsza. Ktoś mi powiedział: panie profesorze, niech pan napisze teraz wielkie naukowe dzieło, w którym będzie tyle wzorów, że nikt niczego nie zrozumiał. Postąpiłem na opak. Napisałem dzieło naukowe, w którym nie ma ani jednego wzoru po to, aby wszyscy, którzy myślą, wszystko – no, prawie wszystko – zrozumieli. To jest taki świat na wyciągnięcie myśli.

W książce nie ma nie tylko wzorów, ale również tabel i wykresów, rysunków i map. Towarzyszy mu za to specjalne urządzenie – portal internetowy www.wedrujacyswiat.pl, do którego przenieśliem całą bazę statystyczną. Zawiera ona ponad 120 poglądowych map, tabel i wykresów ujętych w czterech działach:

- Świat i polityka.
- Ludność.
- Gospodarka.
- Środowisko.

Jest to dynamiczny aneks statystyczny, okresowo aktualizowany. Książka, sędzę, będzie się broniła za lat 5, 10 i 20 logiką wyvodu, ale za lat 5, 10 i 20 dane statystyczne miałyby lat 5, 10 i 20, a któż z nas lubi książki z danymi tak starymi, jak lat 5, 10 i 20? A tu wystarczy kliknąć – i dane aktualne! Jest tam bogata bibliografia przedmiotu z linkami internetowymi. Są tam także fotografie ilustrujące niektóre rozważania. Są też linki do przydatnych w studiach porównawczych baz danych. Wreszcie jest blog, na którym już trwa ożywiona dyskusja i umieszczonych jest około stu merytorycznych, ciekawych wypowiedzi.

I na koniec. Będąc w niezwykle poważnym towarzystwie niezwykle poważnego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, to oddając już głos Pani Prezes Mączyńskiej pragnę dodać, że bardzo chętnie wysłucham – jak zawsze – wszystkich uwag, zwłaszcza krytycznych, bo, jak już powiedziałem na wstępie, wiele się przy takich okazjach uczę. Odpowiem też chętnie, jeśli tylko potrafię, na wszystkie pytania z jednym wszakże wyjątkiem. Otóż nie odpowiem na pytanie, co oznacza podwójne u/ó na okładce książki w słowie "wędrujący". To pytanie jest zadawane na wszystkich spotkaniach autorskich i we wszystkich prawie wywiadach, których udzielam. Wobec tego ogłosiłem na portalu www.wedrujacyswiat.pl konkurs na najbardziej frapującą interpretację znaczenia podwójnego u/ó. Jest już wiele jakże intrygujących odpowiedzi! Tu, na sali w PTE, słyszę, że chodzi pewnie o "u" w znanej formule wzrostu gospodarczego Kaleckiego. U Kaleckiego było "u" otwarte. I niech tak już zostanie, bo tam chodziło o "usprawnienia", a nie o "ósprawnienia", choć nie raz w praktyce akurat tak wychodziło...

Zapraszam wobec tego wszystkich Państwa do wspólnej intelektualnej wędrówki, do dyskusji wokół fundamentalnych spraw związanych z długofalowym rozwojem – cywilizacji,

ludzkości, gospodarki światowej. A przy okazji także do poszukiwania jak najlepszego miejsca dla polskiego społeczeństwa, polskiej kultury, polskiej gospodarki. W przyszłości zaś – tej bliższej i tej dalszej – życzę Państwu, abyście jak najdalej i jak najszczęśliwiej zawędrowali.

Dziękuję za uwagę.